

# INFORMOGRAM

Napisal: Ryszard Głowacki

Ilustrował: Władysław P. Jabłoński

Zajęcia z łączności od dawna cieszyły się złą sławą. Przyczyną takiego stanu rzeczy był Klajster. Gdyby zapytać którego z elewów, skąd wziął się ten niecodzienny przydomek wykładowcy, żaden nie potrafiłby odpowiedzieć. Po prostu, kiedy ostrzyżeni do gołej skóry zameldowali się pierwszy raz w Akademii, od razu starsi koledzy zaczęli ich straszyć łącznością i Klajstrem. Klajster miał oczywiście normalne nazwisko i kilkuczłonowy tytuł wojskowo-naukowy, ale żaden elew, mówiąc o wykładowcy łączności, nigdy ich nie używał.

Każdego roku z początkiem lata odchodziła kompania absolwentów, a na ich miejsce w jesieni zjawiali się rumiani kadeci, tylko Klajster niezmiennie trwał na swoim stanowisku, siejąc popłoch wśród kolejnych roczników.

Zdarzyło się raz, że jeden z elewów, idąc zdawać egzamin z łączności, w dobrej wierze wpisał do swojego indeksu w rubryce „Nazwisko wykładowcy” obiegowy pseudonim łącznościowca. Ten nawet okiem nie mrugnął przeczytawszy swoje przezwisko, tylko wpisał trójkę i postawił parafę. Był to jedyny przypadek zdania egzaminu u Klajstra za pierwszym razem. Pielgrzymki chodziły oglądać stawny indeks i jego właściciela.

Chociaż, jak się rzekło, nikt już nie znalazł genezy pseudonimu, to jednak trzeba przyznać, że określenie znakomicie pasowało do łącznościowca. Wykładał monotonicznie, głosem cichym i bezbarwnym.

Po Akademii krążyła anegdotka, że podczas Klajstrowych wykładów czas w audytorium płynie znacznie wolniej niż na korytarzu. Jakis nadgorliwiec z trzeciego roku obliczył nawet, z jaką prędkością należałoby się poruszać, aby osiągnąć taki sam efekt. Rzeczywiście, trzeba

było mieć dużo samozaparcia, aby nie zasnąć na Klajstrowych wykładach.

Za to na egzaminie wymagania miał ogromne. Jako jedyny sprawdzał wiadomości osobiste, twierdził bowiem, że nawet najglupszy elew po drugim roku potrafi wykołować najbardziej skomplikowane urządzenie testujące, co było prawdą, niestety, tylko częściową. Dlatego egzaminów z łączności bano się jak ognia, a kto zdał już za drugim razem, uważany był za urodzonego w czepku, a jego imię powtarzano w Akademii jeszcze wtedy, gdy ów szczęśliwiec dawno już pobieranie nauk ukończył i od dobrych paru lat tkuł się po peryferyjnych orbitach, intensywnie zapominając znakomitą większość wtłoczonych mu do głowy wiadomości. A jeżeli w jakimś zakazanym astroporcie, gdzie diabeł mówi dobranoc, spotkało się dwóch wychowanków Akademii Przestrzeni, wtedy nie kto inny, lecz właśnie Klajster był głównym tematem wspomnień. Pamiętali go bez wyjątku wszyscy, chociaż sylwetki wielu innych wykładowców zatarły się już w pamięci. I, co najdziwniejsze, łączność okazywała się dziedziną najbardziej odporną na upływ czasu. Może dlatego, że była tak ważna w ich zawodzie, a może ze względu na osobę wykładowcy?...

Było uświęconym zwyczajem, że po zakończeniu ostatniego semestru zajęć, zabierał Klajster cały pluton na wycieczkę do Centrum Łączności Dalekiego Zasięgu.

Placówka ta specjalizowała się w wysyłaniu co jakiś czas wielce uczonych telegramów, adresowanych do naszych hipotetycznych pobratymców w najbliższych rejonach Galaktyki.

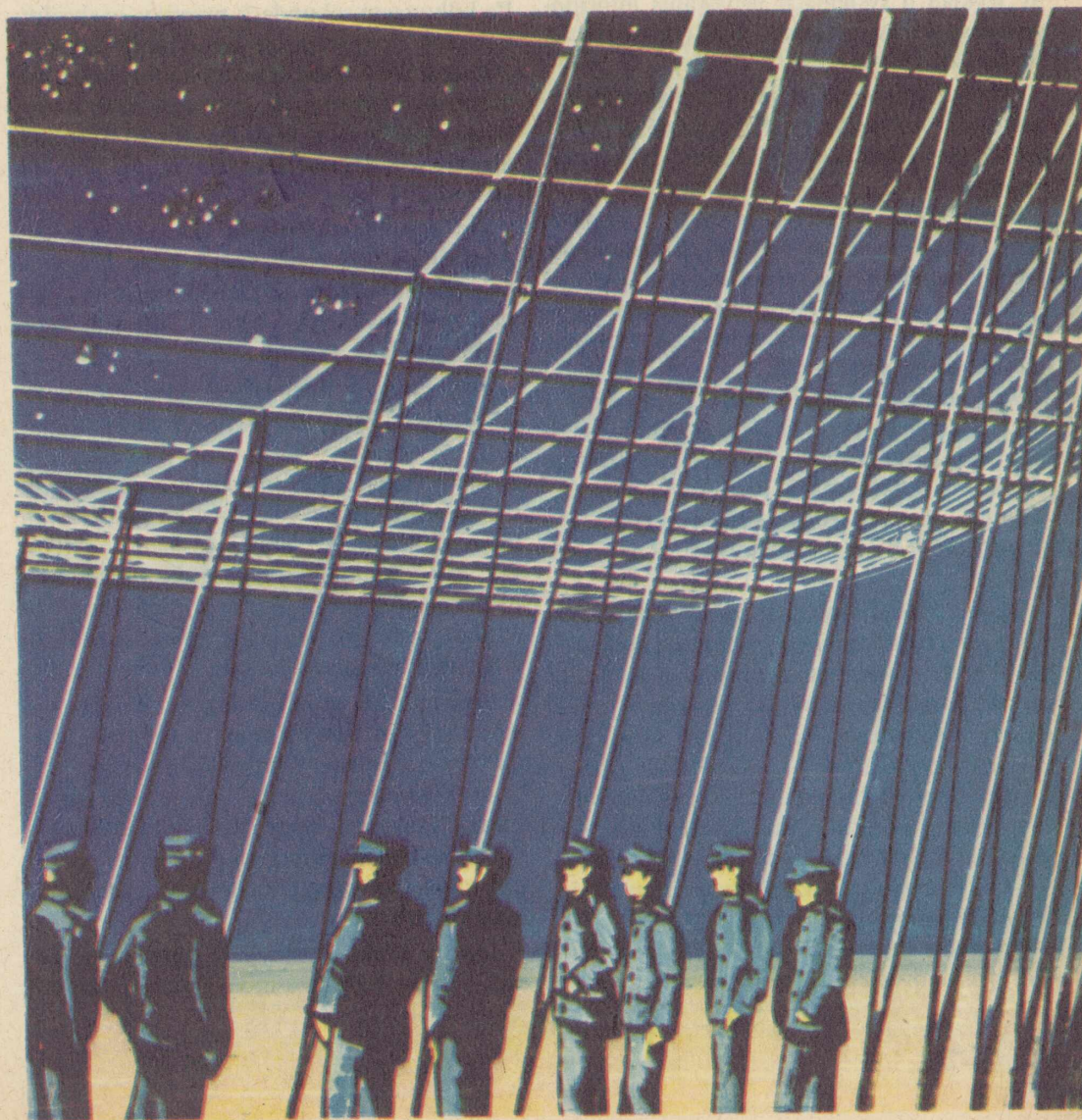
Jej działalność była tematem mniej lub więcej głupawych żartów, a powszechnie nazywano ją „głosem wołającego na puszczy”.

Kilkuosobowy personel stacji zachowywał olimpijski spokój. Na każdą uszczypliwą uwagę pracownicy Centrum mieli jedną i tę samą odpowiedź: „Pracujemy dla przyszłości”. Nie bacząc na drwiny, spokojnie układali i kodowali wciąż nowe listy do cywilizacji pozaziemskich i wysyłali je we wszystkich możliwych kierunkach, wykorzystując swoje dwa olbrzymie radioteleskopy. Prowadzili też systematyczny nasłuch sygnałów dolatujących z galaktycznych głębin i analizowali je, usiłując wyłowić ziarno uporządkowania spośród odgłosów kosmicznych konwulsji.

Każdy z pracowników Centrum w głębi duszy żywił nadzieję, że to właśnie on będzie tym, który pierwszy wpadnie na depeszę od Nich.

Kiedy kolejna doroczna wycieczka zawitała do Centrum, trwały tam właśnie ostatnie przygotowania do wysłania kolejnego listu, tym razem w stronę jednej z najbliższych gwiazd. Nadarzała się więc okazja, aby zademonstrować słuchaczom najważniejszą fazę eksperymentu.

Ubrani w nieskazitelnie czyste wyjściowe mundury, karnie szli za swoim przewodnikiem. Nawet ruchliwy zwykle elew Palka, niezmordowany w opowiadaniu dowcipów



i robieniu wszystkim kawałów, tym razem szedł spokojnie, ponuro zwiesiwszy głowę. Nic dziwnego, bo nie dalej niż wczoraj po raz czwarty z trzaskiem wyleciał od Klajstra i nic nie wskazywało na to, żeby w którymś z najbliższych czterech egzaminów zdołał pokonać łącznościową przeszkodę.

Na wstępie obejrzeni gigantyczny, półkilometrowy radioteleskop, przy którym człowiek czuł się niewielką drobiną, zagubioną i bezradną.

Potem zwiedzali rozdzielnię, gdzie zbiegały się linie energetyczne zasilające kolosa podczas kolejnych emisji, by na koniec dotrzeć do centrali. Tam powitał ich kierownik Centrum i, ustawionym w półkole, zaaplikował godzinny wykład o systemach nadawania informogramów, który to temat znali niemalże na pamięć z wykładów.

Nic też dziwnego, że po kilkunastu minutach niektórzy zaczęli się rozglądać po ścianach, po aparaturze, a nawet dyskretnie ziewać.

Trzymający się przez cały czas z tyłu elew Palka niepostrzeżenie zniknął za stalowymi szafami komputerów i korzystając z tego, że podłoga wyłożona była grubym, tłumiącym odgłos kroków dywanem, rozpoczął zwiedzanie centrali na własną rękę.

W pewnym momencie w oczach jego zapaliły się złośliwe błyski. Nachylił się nad klawiaturę i końcem ołówka wystukał jedno krótkie zdanie. Następnie nastawił czasowy włącznik na liczbę „10”, nacisnął czerwony guzik z napisem EMISJA i, zadowolony, wrócił na swoje miejsce.

Jeszcze przez kilka minut rozwodził się szef placówki o różnorodnych wariantach kodowania. Wreszcie skończył i poprowadził grupę do stanowiska programowania. Tam znowu popłynęły wyjaśnienia technicznych sposobów wysyłania kosmicznych komunikatów. Mówca był właśnie w trakcie dochodzenia do kulminacyjnego punktu opisu, jakim miało być rozpoczęcie nadawania, gdy nagle rozległy się alarmowe dzwonki, a nad drzwiami zapalił się czerwony neonowy napis: EMISJA.

Przygasły światła centrali, zajaśniał srebrnym blaskiem wielki ścienny ekran i zaczęły

się na nim ukazywać zielone litery, układając w wyrazy i zdania.

Elewi z uznaniem kiwali głowami – wreszcie wycieczka nabrała rumieńców! Zadowoleniem jaśniała również twarz łącznościowca. Nie spodziewał się, że kierownik zrobi im taki pokaz. Z uznaniem spojrzął na niego, lecz widok szefa Centrum sprawił go w wyraźne zakłopotanie.

Ten, jeszcze przed chwilą pewny siebie, teraz sprawiał wrażenie absolutnie zaskoczonego i bezradnego. Z nieukrywaniem zdumieniem wpatrywał się w ekran, na którym płonął zielony napis:

RADIOGRAM NUMER 237

KIERUNEK: WOLF 359

TREŚĆ:

Po kilkunastu sekundach przerwy, w absolutnej ciszy, rozjarzył się na ekranie najpierw zakodowany w układzie dwójkowym zapis komunikatu, a następnie pomarańczowe litery, które ułożyły się w krótkie zdania i spokojnie płynęły wysoko nad głowami zdumionych obserwatorów...

Od tego czasu minęło siedemnaście lat. Akademia Przestrzeni przeniosła się do nowej, wspaniałej siedziby na Ziemi Grahama, gdzie wprawdzie było dość chłodno, ale za to cicho i spokojnie.

Nikt już nie pamiętał o surowym wykładowcy łączności, który dawno przeszedł na emeryturę.

Elew Palka został pilotem transportowym i prowadził ciężkie masowce na najdalszych trasach. Nieraz w jakimś deskami zabitym astroporcie spotkał któregoś z dawnych szkolnych kolegów, ale nigdy nie przyznał się, że to właśnie on był autorem najślawniejszego w dziejach Akademii kawału.

Centrum Łączności Dalekiego Zasięgu pozostało w tym samym miejscu. Nadal co pewien czas wysyłano stamtąd zakodowane „listy do kosmicznych brać”, ale jeszcze się nie zdarzyło, aby znudzone czasie gigantycznych radioteleskopów przechwyciły coś innego niż elektromagnetyczne echa odległych paroksyzmów materii.

Jeszcze w ubiegłym wieku stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że jesteśmy samotni

w przestrzeni okołosłonecznej. Teraz znowu automatyczny zwiad do gwiazdozbioru Centaura wykazał, że tam nie ma nawet najprostszych bakterii.

Wszystko to sprawiło, że Centrum działało raczej z rozpedu, bo jakoś nikt nie śmiał oficjalnie przemianować go na to, czym w rzeczywistości od dawna było, to znaczy na zwykłe obserwatorium radioastronomiczne. Jego działalność emisyjna stanowiła margines zajęć i egzystowała na zasadzie: „Mówił dziad do obrazu...”

Od czasów, gdy rokrocznie przyjeżdżały tu wycieczki umundurowanych studentów z Akademii, niewiele się zmieniło: te same obiekty, ta sama aparatura, nawet inwalida w portierni był ten sam. Zmienił się tylko personel naukowy – przychodzili tutaj pracować ludzie starsi, którzy lubili spokój i ciszę, oderwanie od zagonionej rzeczywistości, albo zupełnie młodzi radioastronomowie lub elektronicy, dla których Centrum było jedynie krótkim przystankiem na początku zawodowej drogi.

Do tych ostatnich należał bez wątpienia młodszy asystent Inch. Zaczepił się w Centrum, by mieć jakieś zajęcie do czasu, gdy zwolni się miejsce w Instytucie. Praca w Instytucie była jego marzeniem i nie wątpił w to, że wcześniej czy później marzenie to się spełni.

Na razie „zatykano nim dziury”, to znaczy był czymś w rodzaju rezerwy urlopowej. Co kilka lub kilkanaście dni zmieniał rodzaj pracy, ale nie narzekał z tego powodu, bo pozwalało mu to poznać cały zakres działalności placówki.

Od tygodnia na przykład miał nocne dyżury przy radioteleskopie. Było to zajęcie raczej symboliczne, bo całość pracy i tak wykonywały automatyczne urządzenia analizujące. Rola dyżurnego ograniczała się do bliżej nie określonego nadzoru nad aparaturą.

\*

Tej nocy Inch był wyraźnie nie w sosie. Chciało mu się spać, bo w ciągu dnia miał tyle zajęć, że zdołał zaledwie zdrzemnąć się dwie godziny. Aby nie zasnąć, zaparzył sobie mocną

kawę i, popijając małymi łykami, rozmyślał o dwóch najbliższych wolnych dniach, jakie go wkrótce czekały. Potem usiłował czytać, jednak litery rozmyzywały mu się przed oczyma i coraz częściej łapał się na tym, że nie wie, o czym przed chwilą czytał. Odłożył książkę i zaczął spacerować po centrali, wsłuchując się w monotony, usypiający szum nieskoordynowanych sygnałów odległych światów, dobiegający z głośnika. Denerwowały go te ciche popiskiwanie. Nie zdążył jeszcze przyzwycząić się do ich nieustannej obecności, jak przyzwyczaili się inni pracownicy Centrum, dla których monotonne dźwięki stanowiły normalnie niesłyszalne tło.

Nagle przez chaos pisków przedarł się jakby jakiś bardziej skoordynowany rytm. Inch zatrzymał się i podniósł głowę nasłuchując. To nie było złudzenie – sygnał chwilami wprawdzie zanikał, ale za moment pojawiał się znowu. Trwało to ponad minutę.

Naraz nietypowy sygnał umilkł, aby po kilkunastu sekundach wrócić do poprzedniego rytmu.

I znów jak urzeczony wsłuchiwał się przez kilka minut w niespotykaną melodię radiowych fal. Potem nastąpiła cisza, to znaczy rozbrzmiewały tylko piskliwe dźwięki tła, jak zawsze.

Inch usiadł i zaczął się zastanawiać, co powinien w tym wypadku przedsięwziąć. Im dłużej rozmyślał, tym coraz bardziej był pewny, że to musiało być złudzenie. Sprawdził jednak pozycję radioteleskopu – wszystko było w porządku. Olbrzymia antena wycelowana była w kierunku gwiazdozbioru Lwa, zgodnie z programem obserwacji. Inne parametry też się zgadzały.

Uspokojony, znów usiłował zagłębić się w lekturze. Senność ulotniła się nie wiedzieć kiedy, jednak dalej nie potrafił skupić się na czytanej treści. Przez jakiś czas bezmyślnie wpatrywał się w popstrzoną czarnymi znaczkami pisma stronicę, lecz w końcu, zniechęcony, odłożył książkę.

Znów zaczął przechadzać się po rozległej centrali i wpatrywać w ekrany licznych urządzeń. Wtedy wszystko się powtórzyło. Taki sam, jak poprzednio, rytm popłynął z głośni-



ka, potem krótka przerwa, kilka minut wyraź-  
nie modulowanej fali i koniec.

Teraz miał już pewność, że to nie było  
złudzenie. Spojrzał na zegarek – dochodziła  
północ. Podeszedł do aparatury i zażądał grafi-  
cznego zapisu obserwacji z ostatniej godziny.  
Po chwili trzymał w ręku kawał perforowanej  
taśmy, na której wyraźnie odcinały się dwie  
nieomal identyczne grupy krzywych. Linijką  
zmierzył odległość czasową pomiędzy począt-  
kami obu zaburzeń. Wynosiła ona 37 minut  
i 42 sekundy. Szybko dodał otrzymany wynik  
do czasu rozpoczęcia drugiej emisji. Wyszło  
mu zero trzydzieści dwa z sekundami.

Siedział jak na szpilkach, wsłuchując się  
w monotonne pogwizdywanie głośnika.  
O wpół do pierwszej ściągnął zegarek z ręki  
i położył na stole. Sekundy wlokły się niemiło-  
siernie. Jeszcze dziesięć... jeszcze pięć...  
dwie...

– Jest! – okrzyk wyrwał mu się z gardła bez

udziału woli. Identyczny jak za dwoma po-  
przednimi razami zespół dźwięków wypełnił  
pomieszczenie centrali.

Nie zastanawiał się już dłużej. Spojrzał na  
tablicę z numerami awaryjnych połączeń, pod-  
niósł słuchawkę i wykręcił numer telefonu  
kierownika Centrum.

Zaspany głos szefa nie wróżył niczego  
dobrego.

– Słucham...

– Panie profesorze, tu mówi Inch. Mam  
dyżur w centrali...

– I jaki macie powód, Inch, aby mnie bu-  
dzić w środku nocy?

– Odebrałem radiogram z Lwa.

– Skąd?!!

– Z gwiazdozbioru Lwa, trzykrotnie.  
Chciałbym, aby pan...

– Zaraz tam będę. Do zobaczenia.

Młodszy asystent Inch odłożył słuchawkę,

poszedł do komputera i zażądał taśmy z trzema ostatnimi zapisami oraz skonstruowania radiogramu średniego, który miałby usunięte wszystkie możliwe do skorygowania zakłócenia.

Kiedy tak siedział nad dwiema rozłożonymi taśmami, usłyszał trzask otwieranych drzwi. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył profesora, który w narzuconym na piżamę płaszczu kąpielowym zbliżał się do niego. Dopiero teraz uświadomił sobie, że szef mieszkał na terenie Centrum.

– No, słucham...

Inch w krótkich słowach opowiedział przebieg dotychczasowych wydarzeń i pokazał profesorowi papierowe wstęgi. Na koniec dodał:

– Jeśli im się jeszcze nie znudziło, to za jakiś kwadrans powinni znowu nadawać.

– Zobaczmy – odparł spokojnie profesor i siadł przy głównym pulpicie centrali. Taśmę ze skorygowanym zapisem radiogramu wsunął w otwór dekodera dwójkowego i zażądał graficznego obrazu depeszy.

Błyskawicznie zaczęła pracować drukarka, wystukując na białym tle skomplikowany ornament z czarnych kwadracików. Mimo iż stukanie drukarki wkrótce ustało, profesor nie odrywał oczu od taśmy. Obserwujący go z boku asystent zauważył głębokie zdumienie malujące się na twarzy kierownika Centrum.

– Inch – odezwał się po chwili cicho – niech mi pan da filiżankę kawy, jeśli można.

– Zaraz będzie, mam w termosie.

Profesor wypił postawioną przed nim kawę i rzekł:

– To jest nasz własny komunikat. Przynajmniej jego początek. O, tutaj mamy obraz układu planetarnego Słońca, z uwydatnieniem trzeciej planety, potem ewidentny schemat naszego radioteleskopu, a dalej jest jakaś treść, na początku chyba liczby atomowe kilku pierwiastków...

– Panie profesorze, chciałbym zapytać, czy taki komunikat został przez nas wysłany.

– Dobrze, proszę zaprogramować to pytanie.

W tym momencie z głośnika rozległo się charakterystyczne popiskiwanie modulowanej wiązki fal radiowych. Profesor nieruchomo

wpatrywał się w jakiś punkt na podłodze. Inch w tym czasie manipulował przy klawiaturze.

Jeszcze kolejny seans nie skończył się, a on już trzymał w ręku odpowiedź z komputera:

„RADIOGRAM NUMER 237 KIEROWNIK: WOLF 359”

Profesor spojrział na podany mu papier, odczekał do końca tajemniczej audycji i podszedł do szafy z rejestrami nadanych radiogramów. Po pozycji 236 następowała od razu pozycja 238.

– Inch, ja nic z tego nie rozumiem. Gdyby taki list został nadany, musiałoby to odbyć się siedemnaście lat temu. W jaki sposób on do nas wrócił? Dlaczego tej pozycji nie ma w spisie?

– A może ktoś odebrał ten nasz radiogram i zwraca go nam jako znak rozpoznawczy. Druga część depeszy może pochodzić od nich.

Kierownik Centrum jeszcze raz sięgnął po graficzną wersję depeszy i długo się w nią wpatrywał. Wreszcie położył ją na biurku dyżurnego i rzekł:

– Ma pan chyba rację, Inch. Czeka nas kawał ciekawej roboty. Na teraz mamy tylko jedno zadanie – znaleźć tekst radiogramu numer 237.

– Nic prostszego, jeśli jest w pamięci naszej aparatury. Zaraz zapytam.

Po chwili położył na biurku pasek papieru, na którym było wydrukowane:

„237 TEKST PRZETRANSFORMOWANY / C<sub>6</sub>H<sub>10</sub>O<sub>5</sub> PRODUKT FOTOSYNTAZY ROZPUSZCZALNY POLISACHARYD AMYLOZY PLUS NIEROZPUSZCZALNY AMYLOPEKTyny / KLEJ SKROBIO- WY / ISTNIEJE / TERMIN NIEZROZUMIAŁY”

– Ależ to nie ma sensu! To jakaś bzdura! Szukaj tekstu wyjściowego!

Inch jeszcze raz podszedł do klawiatury. Kiedy drukarka wystukała odpowiedź, przeczytał ją dwukrotnie, a ponieważ był tylko młodszym asystentem, przeto parsknął niepohamowanym śmiechem i ku zgorszeniu kierownika Centrum złapał się za brzuch, na taśmie bowiem widniał następujący tekst wyjściowy gwiazdowego informogramu:

„KLAJSTER JEST PACAN”